

styk zle poustawiał instrumenty w centralnym miejscu konsoli, tak że w czasie trwania dwóch, trzech pierwszych utworów słychać było głównie dudniący bas Burke Shelly'ego. Nowy wiodzący grupy, Simon Lees, dopiero po kilkunastu minutach wyphył na szersze wody. Wówczas okazało się, że koleś jest jakby z innej bajki. Jego wirtuozerskie wycieczki i stricte metalowe granie nie bardzo pasowało do hardrockowej stylistyki Budgie. Właśnie jego partie najbardziej zróżnicowały końcówkę oceny tego koncertu wśród fanów grupy. Byli tacy, którzy stwierdzili, że dzięki tym metalowym popisom została odświeżona formuła repertuaru Budgie. Byli też i tacy - wśród nich moja osoba - którym te popisy zepsuły smak wspianych kompozycji grupy. A tych doprawdy nie zabrakło i tylko dzięki takim klasykom, jak „In For The Kill”, „Black Velvet Stallion”, „I Turn To Stone”, „Parents” i „Breadfan” nie wyszedłem po północy kompletnie rozczarowany.

### **Virgin Snatch - „S. U. C. K. (Mystic Production)**

Pod tą światowo brzmiącą nazwą kryje się projekt muzyczny Titusa, lidera grupy Acid Drinkers, który wraz z mało znanymi muzykami z Krakowa wytopił kawał solidnej metalowej surowizny. Przy pierwszym podejściu moje skojarzenia powiodły mnie w stronę zespołu Prong. Może stało się tak dlatego, że tak niedawno miałem na tapecie najnowszy produkt tej kapeli. Moim zdaniem, album grupy Virgin Snatch wcale nie odbiega poziomem od dokonania Amerykanów. Jest nawet od niego lepszy (choć to rzecz względna), a na pewno ciekawszy.

Przesądżają o tym przynajmniej dwa argumenty. Pierwszy wiąże się z samym repertuarem płyty. Jest on trashowo-hardcore'owy, aczkolwiek surowe i brudne brzmienie większości nagrań niekoniecznie może wpasowywać całość do wspomnianych stylów. Same zaś kompozycje, mimo że melodie nie odgrywają w nich najważniejszej roli, zbudowane są na bazie solidnych riffów, a zmieniające się tempo (jak np. w „Six, Six, Six”) dodatkowo świadczą o dużej inwencji

twórczej. Poza tym spoza gitarowej masy dźwięków tu i ówdzie wyłaniają się dyskretne akcenty elektroniczne, ubarwiająca ten zdecydowanie ciężki materiał. Mało tego! Zespół „wstawił” do repertuaru dwa utwory, które zupełnie odbiegają charakterem od reszty. Pierwszy „Senior De Ville” to taki krótki psychodeliczno-elektroniczny pasaż, drugi zaś to niemal gotycka w swym przekazie kompozycja „Before” ze świetnym klawiszowym motywem, w którym jest podniosły, patetyczny nastrój. Zupełnie inna bajka, ale jakie robi wrażenie! Płyta zamyka ponad 14-minutowe nagranie tytułowe w dość konwencjonalnym heavy metalowym stylu, na końcu którego mamy dłuuuużę, nikomu niepotrzebną ciszę, zwieńczoną krótką czadową koda.

Drugim argumentem przemawiającym na plus tej płyty jest pełen profesjonalizm wykonawczy grupy, jak również rasowa obróbka utwalonego materiału. Wiem, że nie jest to dziś nic nadzwyczajnego, bo już od wielu lat polscy wykonawcy mogą śmiało konkurować z każdym solistą lub zespołem światowego formatu. Szkoda tylko, że nie przekłada się to na jakikolwiek sukces komercyjny. Album „S. U. C. K.” na pewno na to zasługuje. (4,5)

### **Die Happy - „The Weight Of The Circumstances” (BMG)**

Fajna kapela, nie ma co. Zwłaszcza wokalistka godna jest polecenia, zresztą nie tylko ze względu na jej nietuzinkową urodę. Marta Jandova (urodzona w Pradze) jak trzeba, potrafi niezłe krzyknąć niczym Skin, ale też umie zaśpiewać niewinnym, wręcz dziecięcym głosem. Jej popisy wokalne są ozdobą tej zdecydowanie rockowej płyty.

Niemcy z Die Happy nie rzucają słuchacza na głębi swoim nowatorstwem, bo przecież zespołów grających ostrego rocka z kobietą na wokalu było już trochę. Gdybyśmy wzięli dla porównania nagrania chociażby Skunk Anansie czy ich krajanów z Guano Apes, szybko doszlibyśmy do wniosku, że wszyscy wspomniani grają w tej samej lidze i to zarówno pod względem stylu, jak i wykonania. Jakież różnice? Są, aczkolwiek